

# Wenecjanin z chochłą

„Bawimy się i wiemy, że się bawimy, a więc jesteśmy czymś więcej niż jedynie rozumnymi istotami, ponieważ zabawa nie jest rozumna” – pisał w 1938 r. Johan Huizinga, autor książki „Homo ludens”. Nie trzeba jego koncepcji znać, by bawić się w karnawale i czerpać przyjemność z pięknych Straussovskich melodii operetki „Noc w Wenecji”. Premierę tego dzieła, zaliczanego do operetkowego kanonu, pokazał 29 stycznia Teatr Wielki. To pierwsza w pełni samodzielna premiera nowego dyrektora Pawła Gabary (poprzednią, „Don Giovanniego”, otrzymał „w spadku” po poprzedniku).

Karnawał rządzi się logiką odwrotności. To czas, kiedy panujące na co dzień reguły zostają zawieszane, kiedy wolno więcej niż zwykle. Dzięki maskom każdy może zmienić tożsamość i choć przez moment zamaskować, pardon, zasmakować, życia w innym wcieleniu. Tak też dzieje się u Straussa: książę Guido zaleca się do senatorowej Barbary, nie wiedząc, że faktycznie obściskuje rybaczkę Anninę, zaś sprzedawca makaronu Pappacoda „awansuje” na chwilę na senatora. Rzecz jasna, prowadzi to do zabawnych nieporozumień, które jednak w finale zostają wyjaśnione i to w sposób, który nikomu nie psuje wyśmienitego humoru.

Karnawał kojarzy się z bogactwem, przepychem i... tak, kiczem. I właśnie kicz niepodzielnie króluje w tym przedstawieniu. Co więcej – został on tu podniesiony do rangi zasady. Kicz, z którym w operze i operetce zwykle zawzięcie się walczy, wyeksponowano z godną podziwu konsekwencją. Recenzentowi, chcącemu czynić z tego zarzuty, wytrąca to z ręki pióro. Entuzjastyczne piski weneckich przekupek, dłuższe i głośniejsze niż w „zwykłych” operetkach, przerysowana mimika i gestykulacja, zabawne rekwizyty i mnóstwo efektownych „omdleń” wielkich dam – wszystko to sprawia, że przedstawienia nie da się wziąć na poważnie bez ryzyka mdłości.

Oglądając szalony taniec Pappacody z wielką chochłą, myślałam sobie, że przedstawienie przypadłoby do gustu mojej czteroletniej córce... Właśnie! Gdy wyzbyć się zwyczajowych oczekiwań, łatwiej można „złapać” konwencję i się w niej poruszać. A przyznać trzeba, że została ona zaplanowana i przeprowadzona konsekwentnie przez reżysera Artura Hofmana. Konieczność innego niż zwykle spojrzenia sugerowały karnawałowe maski, które wręczane były każdemu widzowi. Przez taką maskę widać inaczej: można zanurzyć się w karykaturalnym świecie karnawałowej odwrotności, a gdy spojrzeć uważniej, da się nawet dostrzec refleksję nad współczesnością, która przez nadmiarowość wszelkich dóbr, serwowanych jak rok długi, skutecznie „zlikwidowała” nam karnawał.

Spektakl straciłby połowę (a może nawet więcej) ze swego uroku, gdyby nie kapitalne kostiumy mistrzyni w tym fachu Barbary Ptak. Barwny przepych, oryginalność, niezwykłość – słów mało, by opisać te krawiecko-perukarskie arcydzieła. Artystka pełnymi garściami czerpie inspiracje z postaci commedii dell'arte (m.in. kolorowe trójkąty typowe dla arlekina) i z tradycji weneckiego karnawału. Dotrzymuje jej kroku Grzegorz Policiński, scenograf i reżyser światła, wznosząc w tle weneckie symbole z Pałacem Dożów i Placem św. Marka na czele.

Wystawienie tej operetki w teatrze operowym uzasadnione jest faktem, że partytura zawiera niemal operowe arie i wymaga dużego zespołu wykonawczego (łódzki Teatr Muzyczny pokazał „Noc w Wenecji” w formie koncertowej w 2010 r., wcześniej aż w 1966). Całkiem niezłe spisał się balet, którego efektowne układy dodawały przedstawieniu wiele uroku. Chór, choć spory, nie brzmiał niestety dość potężnie. Spośród solistów niekwestionowanym numerem jeden był występujący gościnnie Janusz Ratajczak jako książę Guido – nienaganna emisja, pełna wyrazu interpretacja i świetna, niewymuszona gra aktorska. I ten błysk w oku: „tak, wiem, że jestem świetny” – artysta zebrał najgorętsze, w pełni zasłużone oklaski. Pozostali soliści także trafnie wpisali się w konwencję i pozwolili rozkoszować się piękną muzyką w swoim wykonaniu: trzeba podziękować zwłaszcza Dorocie Wójcik (Barbara), Agnieszce Makówce (Agricola) i Łukaszowi Motkowiczowi (Pappacoda). O spójność warstwy muzycznej zadbał dyrygent Wojciech Rodek.

„Noc w Wenecji” trzy lata temu miała premierę w Gliwickim Teatrze Muzycznym, gdzie funkcję dyrektora sprawował wówczas Paweł Gabara. Postanowił on powtórzyć sukces tego tytułu, który zdobył znakomite recenzje, i zadbał o podobny styl łódzkiego przedstawienia. Zagwarantowała to między innymi osoba Barbary Ptak, projektantki kostiumów, która wiele swoich „gliwickich” pomysłów przeniosła na łódzką scenę. Niektóre stroje są ładząco podobne do wcześniejszych o trzy lata projektów. To zrozumiałe – przygotowując po raz drugi w krótkim czasie kostiumy do tego samego przedstawienia, w dodatku utrzymanego w tym samym charakterze, trudno ustrzec się powtórzeń. Ale to nie wszystko. Rolę księcia Urbino zagrał w dniu premiery ten sam Janusz Ratajczak. Także ogólny charakter przedstawienia – rodzaj farsy z elementami commedii dell’arte – jest wspólny dla obu inscenizacji. Przedstawienie można więc tylko częściowo uznać za samodzielną premierę łódzkiego teatru.

**Johann Strauss, „Noc w Wenecji”.** Teatr Wielki w Łodzi. Kierownictwo muzyczne – Wojciech Rodek, reżyseria – Artur Hofman, scenografia i reżyseria świateł – Grzegorz Policiński, kostiumy – Barbara Ptak, choreografia – Zofia Rudnicka, przygotowanie chóru – Dawid Jastrząb. Premiera 29 I 2016 r.